№ 43. Warszawa, dnia 12 (24) Października 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

W ZAPASACH Z NĘDZĄ.

Poznałem ją we Lwowie, na wieczorku u niemal obcych mi ludzi, gdzie jakaś pani, gwałtem ją prawie przywiodła, aby biedne dziewczę mogło się, jak to mówią, rozerwać trochę.

A nie do wesela i nie do śmiechu było niebodze! Choć młodość, życie, talent, nawet talent wielki, przypadły jej w udziale od przyrody, szczodrze niemi obdarzona, była... wykolejoną, ale to zupełnie, skazaną na życie walk, gorzkich zawodów, bolesnych często upokorzeń, a zawsze... głodu.

Nieraz, jako literatowi, zdarzało się i mnie pościć trochę, nie sądziłem jednakże, aby lata całe żyć można było tylko chlebem i herbatą a przytem pracować ciężko, natężać umysł co chwila... tworzyć nawet drobne arcydzieła.

Tak było jednak istotnie.

Przedstawiono mnie jako kolegę po piórze, odrazu więc zaczęliśmy swobodną rozmowę.

Mówiła wprawnie kilkoma językami, w małej główce dziewczyny mieściło się tyle wiedzy, w sposobie wyrażania się tyle wdzięku, takt w obejściu tak wielki, iż niebawem zapomniałem zupełnie, że jestem nad Pełtwią, w mieszczańskiem gronie i wobec nieuderzającej ani urodą, ani mieniem lub urodzeniem kobiety. Była córką prostego mularza... oczarowała mnie zupełnie.

Może to śmiało wypowiadane zdania i poglądy na sprawy kraj obchodzące, może urok głosu i urok jasno, rozumnie, spokojnie patrzących oczu, dość, że godzinę spędzoną w towarzystwie tej szczególnej dziewczyny, zaliczam do przyjemniejszych w mojem wędrownem życiu.

Była nauczycielką... ludową (jak mówią w Galicyi), umiała jednak więcej niż niejeden udekorowany dyplomem na skończonego... mędrca.

Może dlatego właśnie, nieuznano ją za godną zajęcia korzystniejszego, materyalnie przynajmniej stanowiska.

Posiadała jednak wadę jedną, największą z wad w jakie szlachetna nędza się przyodziewa: nie umiała kłaniać się, nie umiała pochlebiać, a o intrydze, w główce jej nie było żadnego pojęcia.

Prócz tego, miała cnotę, cnotę zabawną, jak na literatkę: nie przypuszczała, żeby ją przyroda talentem pisarskim obdarzyła a tem bardziej, aby na bladem jej czole promienić mogła święta gwiazda natchnienia.

Ci co jej płacili czasem po dwa centy od wiersza druku, i ci co kazali jej się zadawalniać zaszczytem, że prace jej drukowano, strzegli się jak grzechu śmiertelnego, pochwalenia biednego dziecka, które zmuszone zabijać się pracą dla chleba tylko, przyjmowało bez szemrania 1 lub 2 złr. wynagrodzenia za malutkie, pięćdziesięcio lub stuwierszowe arcydzieła, wartujące, w istocie rzeczy dziesięć lub dwadzieścia razy tyle.

Jeden rzut oka na czarną, wyszarzaną sukienkę dziewczyny, zupełny brak szkiełek i blaszek na ciele i odzieży; drugi na biedną, zapadłą twarzyczkę, oddech krótki, nierówny i silne wypieki na policzkach—wystarczały mi aby zrozumiéć, że wykolejona, walczyła nietylko z przesądami tłumu, z zabobonem i średniowieczną pleśnią jego lojalnych kierowników, ale i z tym strasznym wrogiem, który powoli, ale z ohydną pewnością trawi swe ofiary, z głodem w całem tego słowa znaczeniu.

Korzystając z chwili, w której byliśmy sami w pokoiku, przylegającym do pełnego gwaru salonu:

— Jedź pani do Warszawy... do nas — szepnąłem. — Tam cieplej i weselej; jaśniejsze słońce, serdeczniejsi ludzie! Złota ci nie obiecuję wcale, tryumfy wielkie, ale dopiero po śmierci... honorem jednak ręczyć mogę, że powszedniego nie braknie ci chleba.

Spojrzała mi w twarz badawczo, uśmiechnęła się... ale ten uśmiech skwasił mi na długo wesołe usposobienie, przebijały w nim: tłumiona staranie goryczy, gwałtem powstrzymywane łzy.

— Niestety — szepnęła — Warszawa, to moje marzenie, cała nadzieja jutra ale... nie jestem sama w życiu... mam biedną, schorzałą mateczkę, złamaną cierpieniem; a dodam z dumą: jestem wszystkiem dla niej.

— Możeby jednak znalazły się środki dla przeniesienia was obie...

Niewiem, może mnie źle zrozumiała, odparła jednak łagodnie, ale stanowczo:

— Jałmużny od nikogobym nie przyjęła a czuję, że nigdy nie zarobię tyle, aby módz zaoszczędzić kilkaset reńskich na koszta podróży i t. p.

* * *

Po kilku dniach, ośmieliłem się, nieproszony, niespodziewany, odwiedzić ją.

Mieszkała z matką na jednem z przedmieść Lwowskich, w niskiej, krzywej izdebce, na facyatce parterowego domku, stanowiącej jadalnię, spalnię, kuchnię i salon zarazem.

Wyznam szczerze, iż spodziewałem się, że ją zaniepokoi, zawstydzi może taka dziwaczna wizyta... ale gdzież tam! przyjęła mnie z tym przedziwnym spokojem, właściwym zacnym tylko duszom, z tą pogodą na bladem czole, co uwydatniało bardziej jeszcze święte iskry zapału w jej oczach.

Wskazała mi krzesło, przedstawiła mateczce i zaczęliśmy rozmawiać o rzeczach potocznych, wesołych nawet, jak ludzie niemający innego celu w życiu.

Przez jedyne, otwarte podówczas okienko, dochodziła mnie silna woń kwiatów... spojrzałem, woń przynosił wietrzyk ze ślicznego ogródka.

— Jak się zmęczę pracą, lub lekcyami po złotówce... nieraz godzinę przepróżnuję w tem okienku, pochłaniając oczami te krzewy. Lubię wszystko co jasne, wonne, szczere, uśmiechnięte, wszystko co stanowi przeciwieństwo z moją...

Niedokończyła, wzrok jej pobiegł za moim, ku pysznej, białej kamelii, stojącej na rogu komody.

— Dlaczego... biała? — spytałem patrząc na dziewczynę.

Żywa purpura okrasiła nagle jej więdnące lice.., zawahała się przez mgnienie.

— To dar z za mogiły... wyhodowana na grobie ojca — rzekła opanowując wzruszenie. — Wrócić tam znów musi...

— Nierozumiem.

— Wrócić musi biała, bez skazy... na mojem łonie lub we włosach.

Ścisnęło mi się serce; odwróciłem zręcznie na weselszy przedmiot rozmowę.

. . . .

Potem zapytywałem o nią, osób wielu, znanych z zasług, z mienia, lub z licznych wpływów we Lwowie. Odpowiadano mi jedno i to samo: talent ogromny, odpowiednie wykształcenie, anioł dobroci jako córka, bez plamy jako kobieta.

— Ależ ta dziewczyna zabija się pracą i cierpi głód! —zawołałem raz, rozdrażniony cynizmem pochwał. — Dlaczego?

Ruszano ramionami, pozostawiając mnie bez odpowiedzi.

Los rzucił mną o mil kilkaset potem, straciłem z oczu biedną zupełnie. Czasem, w którem z pism Lwowskich lub Krakowskich, spotkałem wiersz uroczy, pełen męzkiej siły i niewieściego wdzięku, poprawny, pisany perłami.

Pod taką poezyą znalazłem zawsze podpis sympatycznej dziewczyny, której, aby mogła błyszczeć w życiu, brakło tylko: może odwagi zdobycia przebojem palmy pierwszeństwa a może mięksego karku i...

Przed tygodniem, wyczytałem w pismach codziennych, że zgasła na zawsze.

Dzienniki, obdarzając pochwałami poetkę, dodawały najspokojniej w świecie, iż umarła... z nędzy.

Biała kamelia, bez skazy, spoczywa zapewne teraz na piersiach męczennicy.

A oto, ostatni promyk gasnącej gwiazdy, wystarczy on, aby ocenić cośmy stracili:

DO ŚMIERCI.

Przybliż się blada! przybliż się cicha!
Odsłoń twe lica, spokojem piękne!
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha —
Ja się nie zlęknę!

Chociaż nie wierzę by twoja ręka,
Do złotych niebios wiodła podwoi,
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka —
Ciszą się koi...

Wierzę, że losu wściekłość bezsilna,
Do walk daremnych tam już nie zbudzi —
I że cieplejszą ziemia mogilna,
Od serca ludzi!

Marya Bartusówna.

* * *

Wkrótce może, o ile niezależne od nas okoliczności dozwolą, poznajomimy nasze czytelniczki z doniosłą, choć cichą, skromną działalnością literacką poetki; postaramy się przytoczyć i rozebrać, choć okruszyny prac, władającej tak dzielnie strunami lutni ś. p. Maryi Bartusówny. Dziś, choć wyrywa nam się z pod pióra ów ustęp poety, pełen bólu i goryczy:

„...ah, czyż się godzi,
Własne geniusze rozpinać na krzyżu!..."

Powiemy tylko:

„Cześć jej pamięci!"

Zygmunt Gr.

USTĘP

Z PAMIĘTNIKA MŁODEJ PANIENKI.

Moja ciotka jest poczciwa, zacna, wykształcona, kochająca mnie szczerze, ale niestety ma ona szczególne wyobrażenia, w przedmiocie dotyczącym *decorum*, czyli etykiety w towarzyskich stosunkach. Na tem polu jest nieugiętą; niewątpliwie występek zrobiłby na niej mniej przykre wrażenie, aniżeli obraza przepisów etykiety. Wychowana na dworze jednego z panujących książąt w Niemczech, zwróciła główną uwagę na formę, przywiązując do takowej przesadzone znaczenie. Zamieszkawszy później przy nas w Paryżu, została wkrótce wyrocznią w zakresie dobrego tonu, w razach też wątpliwych, oddawano pod jej sąd wszelkie kwestye dotyczące tego przedmiotu.

Zajęte przez siebie tak wysokie stanowisko w towarzyskich stosunkach, otaczała coraz większym blaskiem; nie ośmielano się też nigdy sprzeciwić jej zdaniu i wszyscy schylali głowę przed jej powagą.

Jedynym w tej mierze wyjątkiem był mój ojciec, żartujący swobodnie ze swej siostry a mej ciotki, chcącej w wieku XIX utrzymać niewzruszenie obyczaje arystokracyi z czasów Ludwika XV-go.

Ciotka oskarżała nawzajem ojca mego o zbytnie przejęcie się duchem mieszczańskim, a znosząc cierpliwie słyszane żarciki, znajdowała zadosyćuczynienie we wcielaniu w mą istotę wszelkich przepisów, dotyczących ceremoniału w towarzyskiem pożyciu.

Nie zbywało mi na dobrej chęci słuchania we wszystkiem ciotki, jako zastępującej mi zmarłą przedwcześnie matkę, ale na nieszczęście różne okoliczności stawały długo na przeszkodzie, do osiągnięcia marzonej przez ciotkę doskonałości. Byłam zanadto młodą, roztrzepaną, a jednocześnie bojaźliwą, uważałam za prawdziwą mękę, siedzieć na krześle nieruchomo przez kilka godzin. Wprawdzie tańczyłam menueta zgodnie z dziejową tradycyą, czego pilnie przestrzegała ciotka, ale ukłony me, wedle jej zdania, pozostawiały wiele do życzenia, jako pozbawione tyle koniecznej uroczystości i powagi. Nie dosyć na tem, ale i mowa moja nie we wszystkiem miała być poprawną, często bardzo używałam zbyt pospolitych wyrażeń, a nadto idąc za wzorem ojca ujawniałam szczególną skłonność do szczerości i prostoty, co wywoływało na oblicze kobiety, przywyczajonej do innego świata, rumieniec wstydu.

Chcąc wykorzenić, jak mówiła, te nader szkodliwe wady, zwracała baczną uwagę na każde poruszenie, na każde słowo przezemnie wymówione, nie spuszczała mnie nigdy z oczów i nareszcie, dzięki tej wytrwałości, stałam się do niej zupełnie podobną. Wzbudziło to w jej sercu największą radość, pyszniła się mną dając za wzór godny naśladowania wszystkim moim rówienniczkom. Dokonane przez siebie dzieło chciała wreszcie uwieńczyć przez odpowiednie wydanie mnie zamąż, urządzając rzecz całą w tak wykwintnej formie, aby zawarte małżeństwo było wzorem dla teraźniejszych, przeszłych i przyszłych pokoleń.

Nie pytała mnie wcale o zdanie co do wyboru narzeczonego, wszelkie mieszanie się moje do sprawy tego rodzaju uważała za równie niewłaściwe, jak wyjście na ulicę samej, lub czytanie jakiegokolwiek romansu. Po długich rozmyślaniach przyjęła nareszcie oświadczyny pana hrabiego de Vaurieux, należącego do rodziny wspominanej często w dziejach, począwszy XI wieku.

Ojciec mój zgodził się na ten wybór, gdyż pretendent o moją rękę posiadał wiele przymiotów umysłu i serca.

Ciotka zaś prawdopodobnie dlatego była mu przychylną, ponieważ jego praprababki prawie sukcesyjnie były ochmistrzyniami na dworach królewskich, począwszy od Ludwika XIII. Ojciec hrabiego używał pudru aż do końca swego żywota, a syn chociaż uległ wpływowi tegoczesnej mody, ale z jego postaci, tak przynajmniej utrzymywała ciotka, wiała tradycya świetnej przeszłości, której nie potrafił zatrzeć tegoczesny ubiór.

Pan de Vaurieux oświadczył się i był przyjęty w dniu dziewiątym Sierpnia, nazajutrz przedstawiono mi go jako narzeczonego, a za sześć tygodni mieliśmy stanąć przed ołtarzem.

Oczekując na dzień tak uroczysty, zachowanie nasze było ujęte w ścisłe formy przyzwoitości, napełniając serce mojej ciotki radością i dumą. Każdego rana mój narzeczony przysyłał mi bukiet ułożony z białych kwiatów, o godzinie 4 po południu przyjeżdżał z odwiedzinami składając ukłon i zapytując o zdrowie wedle wszelkich przepisów etykiety. W razie udania się na przechadzkę, jechał konno około naszego powozu, lub też spędzał parę godzin z nami w salonie, jeżeli niepogoda zniewoliła nas zostać w domu. W trakcie tego oczy miałam spuszczone w ziemię, niewolno mi ich było podnieść w górę, w rozmowie zaś poprzestawałam na udzielaniu krótkich odpowiedzi, potakując tak lub przecząc nie, stosownie do okoliczności. Po jego zaś odejściu, następowały nieskończone nauki, dotyczące sposobu przyjmowania odwiedzających, aby uniknąć przesady i oziębłości, ale zachować wszelkie odcienia odpowiednio do starożytności herbu i zajmowanego stanowiska. Doprawdy, był to prawdziwy labirynt, z którego do dzisiejszego dnia nie zdaję sobie sprawy dokładnie.

Raz wypadało siedzieć na kanapie i tylko z lekka kiwnąć głową, to znowu powstać z takowej z przelotnym uśmiechem, dalej posunąć się w milczeniu kilka kroków naprzeciwko wchodzącej osoby, lub nareszcie zrobić tę samą drogę już nie z zamkniętemi ustami ale z wykrzyknikami, ah! jakże wdzięczna jestem panu lub pani za łaskawe przybycie. Ten wykrzyknik był prawdziwą dla mnie męka, bo nie umiałam uchwycić właściwego tonu; dopiero po kilku dniach ustawicznych prób zdołałam zadowolnić ciotkę.

Opiekunka moja obiecywała mi świetną przyszłość, prowadzony przezemnie dom miał być wzorem elegancyi i dobrego tonu. Powiem szczerze, przepowiednia ta nie czyniła na moim umyśle wielkiego wrażenia, małżeństwo nawet samo było mi dosyć obojętne; patrząc na zachowanie się pana de Vaurieux, uważałam go za poprawną edycyą mej ciotki, całe więc życie miałam spędzić pod wpływem obawy, aby nie obrazić przepisów towarzyskiej etykiety.

Niespodziewane jednak zdarzenia wszystko zmieniły.

Ojciec mój był chory na pedogrę, przez cały tydzień nie widziałam go wcale; dopiero ósmego dnia zawezwał mnie do siebie: był wesoły i powitał mnie czule.

Przez jakiś czas rozmowa dotyczyła stanu jego zdrowia i zwykłych spraw domowych. Wśród takowej ojciec zapytał mnie niespodzianie:

— Powiedz mi Zuzanno szczerze, jak uważasz pana de Vaurieux?

— Jest on wzorem dobrego wychowania, mój ojcze.

— Niewątpliwie, ale czy ci się spodobał, czy wpadł w oko panience?

— Moja ciotka utrzymuje, że niepodobna zrobić lepszego wyboru.

— Nie pytam o zdanie ciotki, ale o twoje własne; przecież nie ciotka ale ty idziesz za mąż. Odpowiedz przeto na pytanie wyraźnie i bez omawiań: czy znajdujesz prawdziwą przyjemność rozmawiając z nim? Czy objawiane przez niego zdania trafiają do twego przekonania? Czy nareszcie wyobrażenia wasze są zgodne?

— Nie wiem, mój ojcze.

— Jakto nie wiesz, przecież półgodzinna rozmowa powinna być dostateczna do zdania sobie sprawy z wymienionych powyżej okoliczności.

— Dotychczas nie rozmawialiśmy prawie z sobą.

— Jakto, nie rozmawiacie z sobą nigdy. Dlaczego? Czyżby miał być milczącym, zamkniętym w sobie?

— Nie wiem, mój ojcze, ciotka bowiem utrzymuje, że rozmowa narzeczonych, bez świadków, obraża przepisy dobrego tonu a nawet przyzwoitości.

— A to dla jakiej przyczyny? — zawołał mój ojciec z widocznym gniewem. — Przyszli małżonkowie powinni nietylko przyjrzeć się sobie w salonie, ale się poznać; jakimże sposobem poznają się, do dyabła, jeżeli nie rozmawiają z sobą. Pan de Vaurieux może być jak najlepiej wychowanym człowiekiem, ale jeżeli ci się nie podoba, nie potrzebujesz ukrywać twych myśli.

— Ciotka moja utrzymuje, że wzajemne podobanie się nie ma najmniejszego wpływu na pożycie. Jedynie tylko dobra i staranna edukacya jest podstawą małżeńskiego szczęścia.

Ojciec mój wstał z krzesła i kilka chwil przechadzał się po pokoju milczący i widocznie wzruszony. Drżałam jak listek, choć nie umiałabym oznaczyć przyczyny takiego stanu. Nareszcie ojciec pocałował mnie i kazał iść do siebie. Tego samego dnia wyjechaliśmy z Wichy w towarzystwie pana de Vaurieux i 15 Września przybyliśmy do zamku Pontollet.

II.

Wkrótce po naszem przybyciu do rodzinnego gniazda, pewnego poranku słońce świeciło w całym blasku, kwiaty roznosiły balsamiczną woń po okolicy, a cień rzucany przez znajdujące się w parku odwieczne drzewa; zdawał się zapraszać do przechadzki. Zaraz po śniadaniu postanowiliśmy zrobić wycieczkę w stronę jezior, gdzie znajdujący się rybacy z sieciami, również jak rozmaite ptastwo oswojone i dzikie, stanowiło ponętny nader obraz. Najkrótsza była droga wyjść przez wielką bramę pałacową, ale ciotka zniewoliła nas dostać się na drogę poboczną furtką, gdyż wielkie wrota powinny być otwierane jedynie w razie pierwszorzędnych uroczystości.

Mój ojciec postawiwszy na swojem, w innym daleko ważniejszym względzie, zrobił jej to drobne ustępstwo, szliśmy więc przez folwarczny dziedziniec, zasypany różnorodnemi owocami, zebranemi w ogrodach należących do naszego zamku. Przejście było utrudnione, trzeba było iść pojedyńczo w linii prostej, z czego korzystając przełamałam niektóre przepisy etykiety. Przedewszystkiem stawiałam stopy w całej ich długości, zamiast dotykać przedewszystkiem ziemi palcami, a póżniej dopiero spadać na pięty, co ma nadawać nieokreślony wdzięk idącej w ten sposób osobie. Powtóre, schyliwszy się podniosłam z ziemi i schowałam do bocznej kieszeni mej sukni, ulubione przezemnie dwa jabłka kanadyjskie. Ani ciotka, ani pan de Vaurieux nie dostrzegli tych uchybień, ale ojciec pogroził mi palcem i wskazał mi idącą na czele opiekunkę.

Na szczęście zachował tajemnicę, inaczej czekałoby mnie długie kazanie.

— Powiedz mi Zuzanno — rzekł ojciec z uśmiechem żartobliwym — czy to należy do obyczajów wielkiego świata, przywdziewać na wsi tyle różnorodnych strojów i stroików, jak to uczyniła twoja ciotka. Wygląda jak wieża przybrana we wstążki, kwiaty i girlandy, podczas uroczystości w małem miasteczku.

Rozśmiałam się głośno, co sprawiło mi tem większą przyjemność, ponieważ ten objaw wesołości był mi surowo wzbroniony. Ciotka jednak idąc na kilkadziesiąt kroków przed nami z panem de Vaurieux nie dosłyszała tyle ważnego przekroczenia. Tak jak wszystko, tak i uśmiech ujęła w należytą formę; usta tylko mogły być skrzywione nieco w kierunku lewego ucha, ale z piersi nie powinien wybiedz najmniejszy głos, uroczysta cisza miała być odpowiedzią na dowcipne określenie jakiejś myśli lub śmiesznego zdarzenia.

Teraz mogłam się śmiać do woli, ciotka rozmawiała z moim narzeczonym z wielkiem zajęciem, a nawet niezwykłem ożywieniem. Byłam ciekawą, chciałam podsłuchiwać o czem mówią, ale ojciec jakby umyślnie zatrzymywał mnie przy sobie pod rozmaitemi pozorami. Wkrótce wesołość znikła, niepokój opanował moje serce; ciotka w czasie rozmowy z hrabią de Vaurieux rzuciła na mnie strasznym wzrokiem, wyrażającym gniew i oburzenie. Niewątpliwie rozmowa moja z ojcem w czasie pobytu w Wichy była tego przyczyną.

Ostatecznie nie czując najmniejszego wyrzutu sumienia, uspokoiłam się prędko. Nie śmiałam jednak zboczyć z drogi wysadzonej jaworami, chociaż z wielką przyjemnością byłabym zwiedziła różne miejscowości w mem gnieździe rodzinnem, których od kilku lat nie oglądałam. Przewidywałam jeszcze nadzwyczajne zdarzenie, ale jakie? Na to pytanie nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Przechadzka nasza trwała już od dwóch godzin, kolejno zwiedzając aleje wysadzone wiązami, lipami i sosnami, oddaliliśmy się znacznie od zamku, byłam trochę zmęczoną, a prawdopodobnie tego samego uczucia doznawał i pan de Vaurieux, bo pod jakimś pozorem zostawił ciotkę i zbliżył się do nas zawiązując rozmowę z moim ojcem.

Niezadługo weszliśmy na leśną łączkę, zdolną dać wzór dla dekoracyi w operze, wyobrażającej życie wśród wiejskiego ludu. Nie zbywało tam na niczem, co mogło posłużyć do wytworzenia pięknego krajobrazu: wspaniałe buki otaczały tę miejscowość, pyszna murawa, jak aksamit nęciła wzrok przechodzącego, upleciona z gałęzi ławka zapraszała do wypoczynku, a odnoga jeziora graniczącą z łączką, zwiększała jeszcze więcej tyle powabną rozmaitość. Na powierzchni wody dostrzegłam jasne punkciki świecące zdala jakby krople żywego srebra, poruszające się w różnych kierunkach.

— Co to takiego?—zapytałam z pewnem zadziwieniem.

— Jest-to rodzaj wodnych owadów — odpowiedział hrabia z pośpiechem — niech pani przypatrzy się im bliżej, ciekawe to bardzo stworzenia.

Podeszłam kilka kroków bez żadnej obawy: w trakcie tego kiedy śledziłam wzrokiem robione przez nich zakręty, narzeczony mój objaśniał mnie o ich zwyczajach dosyć dziwnych, bo żyją na powierzchni wody, a budują mieszkania na dnie stawów i jezior, umiejąc wzniesione przez siebie domki bardzo wygodne, zaopatrzyć w konieczne do oddychania powietrze.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WIADOMOŚCI Z PARYŻA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Słówko o dzisiejszych powieściach francuzkich.—Muzeum Wiktora Hugo, przy teatrze „des Nations". — Dom poety na wyspie Guernsey.

(Dokończenie.)

Ważniejszym stokroć pomnikiem Wiktora Hugo pozostanie dom jego w Guernsey, w którym przebył dwadzieścia lat wygnania, który zbudował i ozdobił sam z całem bogactwem poetycznej fantazyi. Znany autor Henryk Houssage, zwiedził w tym roku ów dom i skreślił szczegółowy jego opis. Powtarzamy go za nim:

Wązka i stroma uliczka, między dwoma rzędami ubogich domów, prowadzi do pasma urwistych skał, sterczących po nad morzem. Na pochyłości tego pasma zbudowany wielki trzypiętrowy dom, uwieńczony oszklonym belwederem. Frontowa ściana barwy szarej, ma okien czternaście, podnoszących się w górę. To Hauteville House, dom Wiktora Hugo.

Na zewnątrz dom ten nie przedstawia nic szczególnego, ale przekroczmy próg, a ujrzym się w jakimś zaczarowanym świecie. Hugo przebudował go z gruntu. W obszernej sieni uderza w oczy pilastr z dębowego drzewa, bogato wyrzeźbiony. Wśród architektonicznych ozdób widać mnóstwo figurek i złoconych medalionów, a między temi medaliony Wiktora Hugo i młodszej jego córki, dłuta Dawida z Angers. Figurki przedstawiają zakonników w habitach i święte dziewice na modlitwie. Wszystko to wspaniałą tworzy całość. Na frontonie pomieszczony napis: *Notre Dame de Paris.*

Przez trzy lata Wiktor Hugo urządzał sobie to pyszne gniazdo, przez trzy lata dla ozdobienia go skupował rozmaite przedmioty, tak w Guernsey jak w Belgii i Holandyi. Był on sam architektem, stolarzem, tapicerem, malarzem i snycerzem; wszystko niemal co tu widzimy jest dziełem jego ręki, zacząwszy od sufitów i lamperyi, do rzeźbionych drzwi i kominów. Dom ten niepodobny w niczem do innych. Są niewątpliwie wspanialsze, lepiej nacechowane jednolitym smakiem, bogatsze w arcydzieła sztuki; żaden jednak nie przedstawia się tak oryginalnie, na żadnym nie wyciśnięte tak silnie, piętno osobistości genialnego twórcy.

Z sieni do pierwszej sali prowadzi korytarz, pokryty cały od góry do dołu, cennym fajansem i porcelaną. Po lewej ręce, ustawiony na półkach dar Karola X-go, piękny serwis z porcelany sewrskiej, po lewej ceramika z Delft, biała z błękitnem i wielkie misy rouańskie; na suficie sama chińszczyzna.

W pierwszej sali ściany wybite gobelinami z XVIII wieku. Wkoło nizkie sofy tureckie. Główną ozdobę stanowi tu monumentalny komin, z dębowego drzewa, wyrzeźbiony w stylu gotyckim, w arkady i wieżyczki. Zwracają uwagę dwie statuetki, umieszczone w niżach: jedna przedstawia ś-go Pawła czytającego, druga zakonnika w zachwycie z wyciągniętemi rękami. Pod pierwszą napis *Księga*, pod drugą *Niebo*. Po bokach wyryte imiona, w których Wiktor Hugo widział najwyższą chwałę ludzkości; z jednej strony Mojżesz, Sokrates, Kolumb, Luter, Washington; z drugiej wielcy poeci: Hiob, Izajasz, Homer, Eschiles, Lukrecyusz, Dante, Szekspir i Molier.

Przez małą oranżeryą wchodzimy z sali do ogrodu; widok ztąd roztacza się na morze. Jestto wielki pochyły trawnik, tu i owdzie przystrojony kwiatami. Dokoła niego ciągną się ulice, wśród drzew i krzewów rosnących samopas, nietkniętych ręką ludzką. Figi, kamelie, róże, oleandry, cisną się do siebie, plączą razem rozkwitłe gałązki, rosną z zupełną swobodą jakby w dziewiczym lesie. Wiktor Hugo nie pozwalał nigdy przyłożyć nożyc do róży; to też w ulicy jednej, krzew wypuścił z boku tak grubą gałąź, że przechodząc tędy trzeba pochylić głowę.

„Nie sprzeciwiajmy się drzewom, powtarzał poeta, nie czyńmy im przykrości!"

Roślinność nadzwyczaj tu bujna; wszystkie też plantacye Wiktora Hugo, udały się wybornie, wszystkie oprócz dębu zasadzonego na cześć przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy. Ktoś przywiózł poecie żołądź z Francyi; on zasadził ją w pośrodku trawnika. Płonka puściła, lecz nie wiele odrosła od ziemi. Sądzimy jednak, że prędzej wyrośnie z niej rosochaty dąb, nim Stany Zjednoczone uorganizują się w Europie.

Z ogrodu wróćmy do domu przez szklanne drzwi sali jadalnej. Jasna i wesoła ta sala, ma wysokie lamperye dębowe. Ściany powyżej wyłożone taflami z Delfskiego fajansu w brunatny deseń na tle białem. Piękna makata z XVIII wieku, pokrywa cały sufit Komin fajansowy, błękitny z białem, ma kształt ogromnej litery H, w górze wieńczy go figura N. Panny z porcelany rouańskiej z datą 1776 roku.

Na lamperyach tu i owdzie, wyryte sentencye i przysłowia: jedna z nich daje zbawienną przestrogę:

Wstawaj o VI, jedz obiad o X, wieczerzę o VI, idź spać o X, żyć będziesz lat X razy X.

Na suficie błyszczą trzy wyrazy: *Bóg, człowiek, ojczyzna.* Nad drzwiami czytamy: *Mieszkańcy przemijających siedzib! myślcie o wiekuistym domu waszym!*

Środek sali zajmuje czworograniasty dębowy stół, przy którym dwadzieścia osób wygodnie zasiąść może. Pierwsze miejsce zajmuje wielki fotel dębowy, bogato wyrzeźbiony, w stylu gotyckobizantyjskim. Grzbiet zdobi tarcza herbowa rodziny Hugo, lazurowa ze złotem, na niej dwa ptaki heraldyczne, w górze hełm i napis: *Ego Hugo.* Od jednej poręczy do drugiej przeciągnięty łańcuch żelazny. Fotel ten przeznaczony dla zmarłych, którzy niewidzialni, przewodniczą uczcie rodzinnej. Wyraża to napis: *Absentes adsunt* (nieobecni są tutaj!) Na prawej poręczy wyryty napis: Georges, 1834 roku, na lewej: Józef, Leopold, Sigisbert, 1828.

Oprócz tego jest jeszcze na dole sala bilardowa, szczelnie zamknięta od lat dwudziestu kilku, otworzona dopiero w tych czasach. Wiktor Hugo od roku 1864, przerwał architektoniczne prace swoje, ale nieustannie kupował różne przedmioty artystyczne: miał zamiar ozdobić niemi kilka pustych pokoi. Składał te nabytki w sali bilardowej w miarę jak nadchodziły z Belgii lub Holandyi. Sam poeta miał klucze od tego składu. „Będą tam, mawiał, niespodzianki po mojej śmierci." Jakoż w rzeczy samej, znaleziono mnóstwo drogocennych rzeczy: skóry korduańskie i weneckie, malowidła z XVIII wieku, całe sztuki lampasów i brokateli, kobierce, sprzęty, posągi, fajanse, rzeźby, wszystko to pomieszczone w czterdziestu skrzyniach.

Na ścianach tej sali, zawieszone wkoło portrety familijne, Wiktora Hugo, jego ojca, żony i dzieci, wykonane między 1830 a 1850 rokiem, przez malarzy szkoły romantycznej, Boulangera i Chantillona. Pod niemi ciągnie się cały szereg fantastycznych rysunków, rzucanych na papier śmiałą ręką Wiktora Hugo; są to odwieczne zamczyska, klasztory, dzikie krajobrazy i t. p. Jeden z nich wyobraża gilotynę, powyżej z kłębu czarnych chmur występuje ohydna głowa: przerażający to obrazek. Ramy rzeźbione z drzewa, w guście japońskim, wykonane też ręką poety.

Pierwsze piętro oprócz pokoi sypialnych, ma od strony ogrodu długą galeryą, przedzieloną chińskiemi drzwiami, tworzącą dwa salony. Jeden z nich obity szkarłatnym adamaszkiem, na materyi rozwieszone drogocenne makaty, zahaftowane w drzewa, zwierzęta i ludzkie postacie. Te makaty wykonane były dla królowej szwedzkiej Krystyny, podczas gdy przebywała w Fontainebleau.

W salonie wszystkie sprzęty złocone, pokryte szkarłatnym bławatem, biórka i stoliki misternej roboty, zwierciadła weneckie, wazony chińskie, piękny ekram z epoki Ludwika XV, zahaftowany gobelinowym ściegiem, drugi z herbem rodziny Hugo; ogromny zegar holenderski, wskazuje godziny, dnie i zmiany księżyca. Wpada tu w oko przepyszny baldachim z materyi chińskiej, wsparty na barkach czterech chińczyków, ze złoconego drzewa, wyrzeźbionych w Wenecyi w wieku ośmnastym.

Wśród cennych zabytków, rozrzuconych w tym salonie, jeden na szczególną zasługuje uwagę. Jestto mały stolik, a na nim kilka kałamarzy. W roku 1860, urządzono w Guernsey sprzedaż fantów na rzecz ubogich dzieci, któremi poeta gorliwie się zajmował. Proszono Wiktora Hugo, aby na ten cel ofiarował szklanny swój kałamarz. Uczynił zadosyć żądaniu, a co więcej udał się do trzech słynnych autorów, których najwyżej oceniał: Lamartina, Dumasa i Georges Sand, z prośbą, aby nadesłali też kałamarze swoje. Otrzymał je niebawem, a wraz z niemi i cenne autografy. Kałamarz Lamartina, maleńka czarka na trzech nóżkach, ze szkła białego z różowym, przypomina solniczkę. Autograf zawarty w krótkich słowach: „Mistrzowi pióra, ofiaruje Lamartin".

Kałamarz Dumasa, to prosta flaszeczka za dwa sous: autograf niemniej prosty: „Zaświadczam jako ten kałamarz posłużył mi do napisania piętnastu czy dwudziestu ostatnich tomów."

Kałamarz nakoniec Georges Sand, okrągły, mały, jakie noszą przy sobie woźni i słudzy pocztowi. Za autograf służy przyjacielski list, pod adresem pani Hugo. Poeta urządził pod to odpowiedni stolik; w szufladkach przechowane autografy. Przedaż owych kałamarzy przyniosła 150 franków, Hugo odkupił je następnie.

Ogromna sala na drugiem piętrze, zwana galeryą dębową, miała być zarazem sypialnią poety i pracownią; ponieważ jednak urządzenie jej wiele wymagało czasu i zachodu, Hugo przywykł pracować i sypiać na trzeciem piętrze. Galerya dębowa świadczy jednak o swem pierwotnem przeznaczeniu; na lewo gabinet do pracy, na prawo sypialnia. Rozdziela je rzęd stal kościelnych i dwie kręte kolumny, jedna czerwona, druga czarna. Na czerwonej położony napis *Laeticia* (radość), na czarnej *Tristicia* (smutek).

Wszystko tu ma charakter poważny i surowy. Rzeźbione lamperye z dębowego drzewa sięgają

aż pod sufit: między niemi pokrywają ściany pyszne gobeliny flamadzkie z XV wieku, wykonane w stylu Van Eyka. W pośrodku stoi wielki stół, a na nim ogromny świecznik z dębowego drzewa, na czterdzieści ośm świec, uwieńczony statuetką N. Panny, dłuta Wiktora Hugo. Za stołem trzy fotele wybite skórą, wszystkie wielkie lecz nie jednakiej miary. Na ich grzbietach wybite gwoździami napisy: na największym *Pater*, na drugim *Mater*, na najmniejszym *filium*, z dodaniem rzewnego aforyzmu, *Amatus amat* (kto kochany ten kocha).

Jednę ścianę zdobi monumentalny komin, rzeźbiony z drzewa dębowego, przy drugiej przeciwległej, wznosi się ogromne łoże wsparte na dębowych kolumnach, pod baldachimem z przepysznej makaty. W pośród rzeźb nad wezgłowiem, odznacza się jedna z kości słoniowej, bardzo oryginalna: z jednej strony przedstawia profil męzki z wąsami, po drugiej trupią głowę.

Jest tu jeszcze odwieczny, gotycki zegar: nad godzinami taki czytamy napis: *Omnes vulnerant, ultima necat* (wszystkie ranią, ostatnia zabija.)

Niepodobna powtórzyć tu wszystkich aforyzmów i sentencyi, nakreślonych po ścianach i sprzętach, utworzyłyby razem mały tomik.

Wszystko co tu widzimy, wykonane ręką, stworzone myślą poety. Umiał on skorzystać z każdej rzeczy, zastosować wybornie każdy przedmiot. Sam obijał krzesła; ze starych parawanów chińskich, kupionych na tandecie, wyrabiał drzwi i półki. Węgierski patryota Teleki darował mu haftowany płaszcz i pas złocisty: Hugo wybił sufit płaszczem, pasem ozdobił komin. Stworzył on styl właściwy sobie, całkiem oryginalny, mięszaninę stylu gotyckiego z chińskim. Wszystko tu pełne fantazyi i poetycznego uroku. To prawdziwe muzeum, a zarazem ciepłe, domowe gniazdo. Gdzie rzuć okiem, kobierce, makaty, draperye. Wiktor Hugo nowator w poezyi był zarówno nowatorem w urządzeniu domu. On pierwszy odrzucił papierowe tapety, a zastąpił je starodawną tkaniną lub skórą korduańską, pierwszy rozpowszechnił stare kobierce wschodnie, pierwszy zastosował talerze i półmiski do pokrycia ścian i sufitów; pierwszy wykładał okna, denkami od butelek, łamiącemi tak pięknie światło; onto wprowadził do salonu parawany i baldachimy; słowem on wymyślił ten artystyczny bezład, który cechuje głównie dzisiejszą modę.

Wnijdźmy wreszcie na trzecie piętro, skryte wschodki prowadzą tu z galeryi dębowej. Dotąd widzieliśmy tylko paradne pokoje, w których Hugo prezentował się ludziom. Tu zaś na trzeciem piętrze była jego zwykła siedziba. Składały ją dwie małe izdebki i belwederek Pierwsza izdebka ma ściany wybite kobiercem, pod jedną stoi sofa. To podręczna biblioteczka poety.

Wielka biblioteka mieści się w długiej galeryi na drugiem piętrze. Gdzie rzucisz okiem, pełno książek: całe stosy leżą na ziemi inne powalone na długiej sofie. Tu ogromne woluminy Encyklopedyi Diderota, dalej Lexykon Ducangea, Historya Micheleta; rozrzucone tomy Lamartina, Teofila Gautier, Balzaka; tu znów luźne kartki, to korekta *Legendy wieków*; gdzieniegdzie tomiki, podpisane jakiemś nieznanem imieniem, na okładce litera R., co znaczy *repondu*.

Drugi pokoik mały jak kajuta okrętowa, wybity spełzłą materyą, niegdyś błękitną, ozdobiony zwierciadłem weneckiem. Szafa w ścianie pomalowana na drzwiach, pędzlem Wiktora Hugo. Jedno skrzydło przedstawia walkę rycerza ze smokiem, drugie powrót zwycięzcy: tryumfator składa głowę potwora u stóp pięknej dziewicy. Maleńkie łóżko i stolik, składają tu sprzęt cały. W murze pełno ukrytych szafek. Wiktor Hugo lubił te skrytki. O kilku z nich, nikt nie wiedział prócz niego. Wnuk odkrył w nich stare, pożółkłe rękopisma.

Oba te pokoiki łączą się z belwederkiem, miejsce ścian zastępują szyby. W pośrodku stoi wielki piec z kafli holenderskich, dwie sofy i chiński taboret składają całe umeblowanie. Tu pomiędzy niebem a morzem, w każdej porze roku, pracował Wiktor Hugo odziany w długi, czerwony szlafrok. Ten szlafrok przeszedł w Guernsey do legendy. Widywano go codzień z portu, z ulicy i z wybrzeża. Czy to w zawieruchę marcową, czy w skwar lipcowy, poeta pisał tu bezustannie. Powstało tu mnóstwo dzieł: „Legendy wieków", „Nędznicy", „Cztery prądy ducha ludzkiego", że pominiemy tyle innych utworów. Przewieziono ztąd do Paryża, wielki pulpit dębowy, przy którym Hugo pisał stojąc, zresztą wszystko pozostało jak dawniej. Widok ztąd niezmierzoną ogarnia przestrzeń, po prawej ręce sterczą skaliste brzegi wyspy Jersey, na lewo, daleko, daleko, jak zanurzona w mgłach przeszłość, wynurza się z po za obłoku, droga ziemia francuzka.

Tak Henryk Housage, opisuje dom poety, który zwiedził w tym roku. Dom ten wybornie charakteryzuje osobistość Wiktora Hugo.

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Prawie całą przestrzeń tej wyspy zajmuje góra, wznosząca się na sześćset metrów wysokości. Porucznik wraz ze swymi towarzyszami, po długich i wytrwałych usiłowaniach wszedł na jej szczyt, mając nadzieję przy pomocy zbliżających szkieł, dostrzedz inną jaką wyspę w dalszym kierunku ku Północy. Pomimo bystrego wzroku i troskliwych badań, nadzieja ta zawiodła, dostrzegano tylko, aż do ostatnich granic horyzontu nieforemne skały lodów, a na prawo biegnące ukośne brzegi Grenlandyi, złożone ze skał i gór spadzistych, czyniących niepodobnym każdy zamiar wylądowania. Należy posiadać w swym ustroju duchowym zapał do geograficznych odkryć, aby zrozumieć doznawane przez Lockwooda wrażenia, skoro patrzył na przestrzeń, którą po raz pierwszy wzrok ludzki obejmował. Czyż ta wyspa ma być ostatecznym kresem zrobionych przez niego odkryć? Na pytanie to odpowiadał w przeczący sposób nie słowem ale czynem, zsuwając się z wierzchołka góry, aż do jej podstawy i rozpoczynając podróż po lodach, zawsze w towarzystwie sierżanta i Fryderyka, postępujących wytrwale obok swego dowódzcy. Po zrobieniu kilku mil, Lockwood chciał oznaczyć punkt na którym się znajdują, ale w tej chwili gęsta mgła zakryła słońce; oznaczenie jego wysokości stało się niepodobnem, podróżni wrócili na wyspę z zamiarem uroczystego objęcia takowej w posiadanie w imieniu Zjednoczonych Stanów Północnej Ameryki. Chcąc wykonać to dzieło z wszelką możliwą uroczystością, weszli po raz drugi na szczyt góry i tam wśród lodowej pustyni, zatknęli amerykański sztandar uszyty ręką pani Greety.

Rozwinięta chorągiew przypomina im oddaloną ojczyznę w imię której i dla której sławy pracują wytrwale, narażając życie własne na wielkie niebezpieczeństwo.

Po odbytej ceremonii wypadało koniecznie zostawić widomy znak objęcia w posiadanie wyspy, aby zrobione odkrycie nie mogło uledz w przyszłości zaprzeczeniu. Zbierają więc spiesznie znajdujące się w różnych stronach kamienie, a następnie wznoszą znacznej wysokości budynek w kształcie piramidy, gdzie składają kopią spisanego protokułu z odbytej uroczystości i dokonane obliczenia geograficzne. Po uskutecznieniu tej formalności, nikt nie ośmieli się zaprzeczyć amerykanom oddanych usług, w przedmiocie zrobionego przez nich odkrycia nieznanej dotychczas wyspy.

Dzielny porucznik myśląc o sławie ojczyzny, nie zapomina wcale o naukowych sprawach; umieszcza więc na wierzchołku piramidy termometr, znaczący pozostawiający ślad najlżejszych zmian powietrza, co w przyszłości nastręczy wiele danych do czynienia meteorologicznych spostrzeżeń. Uczynił więc wszystko co mógł, aby zwabić w tę stronę marynarzy udających się w podróż dla zbadania północnego bieguna. Nie mając żadnej potrzeby zostawać dłużej na odkrytem przez siebie stanowisku, Lockwood i jego towarzysze wracali szybko do warowni Conger, zabrawszy z sobą z wielkiem uszanowaniem zatknięty sztandar, jako świadka zrobionego odkrycia, zapowiadającego nowe odkrycia naukowe.

Wzmiankowana wyspa, aż do powrotu porucznika do warowni była bez nazwiska i dopiero major Greety po otrzymaniu raportu, postanowił wynagrodzić okazaną przez swego podwładnego odwagę i poświęcenie, nadając jego nazwisko odkrytej miejscowości.

Uszczęśliwiony z odniesionego nad swymi poprzednikami zwycięztwa, postanowił zwrócić dalsze poszukiwania w obrębach lądu sąsiadującego z Grenlandyą a oznaczonego mianem ziemi Grinell.

Zamiar ten znalazł większe powodzenie aniżeli można było przewidywać.

Wybrawszy się w drogę w dniu 6 Kwietnia, przybył major w kilka dni później nad brzegi jeziora, któremu nadał miano Hozen, dla uczczenia dowódzcy służby wojennych znaków, otaczającego gorliwą opieką przedsięwziętą wyprawę do bieguna. Względnie do innych miejscowości klimat tam był bardzo łaskawy; wody jeziora zostawały w stanie płynnym, a nawet wolne były od kry a tembardziej nagromadzonych lodowisk.

W okolicy tej zimowali Eskimosi, czego dowodziły pozostałe dosyć liczne śniegowe budy i różne inne zabytki, świadczące o właściwej cywilizacyi podbiegunowych kolonistów. Posiadali oni sanie, psy, a co ważniejsza w czynnościach codziennego żywota posługiwali się żelaznemi narzędziami.

Łaskawszy niż gdzieindziej stan powietrza, zadzięczała okolica dwóm łańcuchom gór, znajdujących się między 81 a 82 stop. i pokrytych wiecznemi lodami, mającemi do 50 sążni szerokości. Prócz bud Eskimosów trudniejszych do stopienia ze względu na zbitą masę zmarzniętej pary wodnej, nigdzie nie można było dostrzedz śniegu. Major odbył podróż na przestrzeni dwóch kilometrów, dotykając zawsze swemi stopami ziemi pokrytej pierwszemi zawiązkami tworów należących do roślinnego świata. W niektórych nawet miejscowościach, trawy, zioła i podbiegunowe kwiaty, przybrały niezwykłe rozmiary, wzbudzając podziw uczestników wyprawy. Znajdujące się tu i owdzie wierzby rosły widocznie kiedyś jeszcze obficiej, czego dowodziły liczne pniaki i spoczywające na ziemi konary tego rodzaju drzew. Wystarczyły one majorowi aż nadto dostatecznie, do utrzymywania ognisk koniecznych do przygotowania żywności i ogrzania się w czasie wieczornego chłodu. Nietylko jednak świat roślinny ale i zwierzęcy znajdował tam przedstawicieli; były tam woły piżmowe szukające podczas zimy schronienia w tych okolicach, zające i różnego rodzaju ptaki, pokrywające wody jeziora i jego brzegi.

Pierwsza wycieczka majora trwała zaledwo dwanaście dni, ale wracając do warowni Conger, postanowił uskutecznić nową w tym kierunku wyprawę. Nie znajdujemy w dziele pana de Fonvielle żadnych bliższych szczegółów, dotyczących robionych przygotowań; wiemy tylko, że udał się w drogę nazajutrz po przesileniu dnia z nocą i że został w podróży przez dni dwadzieścia.

Zaszłe zmiany stwierdziły w zupełności zrobione w czasie pierwszej wycieczki spostrzeżenia; pod wpływem słonecznego działania znajdujące się na szczytach gór topniejące lodowiska, zwiększyły znacznie objętość jeziora Hazen, ale jednocześnie utrudniły wielce podróż majora. Napotykał, on od czasu do czasu bystre strumienie spadającej wody, niekiedy bardzo głębokie, tak że nie mogąc zgruntować, należało płynąć po ich powierzchni, aby się dostać na drugą stronę, skoro niedostatek drzewa nie dozwolił urządzić naprędce małej tratwy.

Przeprawa takowa była tem trudniejsza, skoro każden z uczestników wycieczki, nie wyłączając samego majora, dźwigał około czterdziestu funtów żywności. Ciężar ten jednak zmniejszał się stopniowo w miarę upływu czasu i podróżni stanąwszy u stóp góry, nazwanej górą Artura, panującej nad całą ziemią Grinek, nie wahali się wejść na jej szczyt, chociaż dzieląca go przestrzeń od podstawy wynosiła tysiąc dwieście metrów.

Cała ta przestrzeń była dotychczas pokryta tajemnicą, której nie zdołały objaśnić wytrwałe usiłowania porucznika Aldrich. Tą właśnie drogą zamierzał odbyć podróż do bieguna Gustaw Lambert.

Pomysł ten jednak dotychczas przynajmniej nie znalazł powodzenia. W chwili pobytu majora Greety na szczycie góry Artura, gdyby wzrok jego mógł był sięgnąć po za granice horyzontu, byłby dostrzegł uwięziony wśród lodów okręt Jeannette, którego kapitan wraz z załogą miał uledz powolnej śmierci z zimna i głodu. Badając powierzchnię gruntu, dostrzegł major znaczną ilość drzew właściwych brzegom Norwegii, które zwykle w tych okolicach burze wyrwały z korzeniami, lub połamały ich pnie, popychając ku Północy. Znajdujące się na ich konarach różnej wielkości muszle, dowodziły niedawnego wyłonienia się tej ziemi z łona wód.

Widocznie wulkany w tej stronie nie zagasły jeszcze i przez wewnętrzne działania sprowadzają te geograficzne zmiany.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Wstrzymanie ostracyzmu. — Jaka tego przyczyna? — Motywa p. Bismarka. — Czem jest? — Powody ostracyzmu. — Samolubstwo. — Głupiec i rozumny. — Oburzenie ludu niemieckiego. — Figa jako na to odpowiedź. — Zawieszenie odwetu. — Palenie ciał zmarłych. — Organ mód dla piesków w Paryżu. — Psi kapitał. — Kradzież jego. — Opis tego, przez pismo humorystyczne w Petersburgu wychodzące p. t. „Strekoza". — „Kuryer świąteczny". — Potwór dziecię w Neapolu. — Kłopot pastora. — Ciekawość. — Skłonność do uwielbiania ludzi. — Kogut z rogiem. — *Cys* w jego pianiu. — Prośba o sekret i przyczyna tego. — Bieda i narzekania na nią. — Powody. — Kto winien. — Rada gazeciarza w Missuri.

Powiadają i to na pewno, o ile gazeciarskim doniesieniom wierzyć można, iż ostracyzm rzucony na Polaków w Prusach zamieszkałych, wstrzymany został w wykonaniu do 1 Kwietnia roku przyszłego. Jaka może być przyczyna tego chwilowego uwzględnienia, niewiadomo, jak niewiadomą jest właściwa przyczyna ostracyzm podobny wywołująca. Motywa bowiem p. Bismarka, mające wygnanie usprawiedliwiać, są tak... co najmniej naiwne, że ani przypuszczać można, aby ten co je wydał mógł sądzić, iż znajdzie równie naiwnych w słuszność ich wierzących.

Kanclerz niemiecki jest człowiekiem bardzo rozumnym, czego mu najwięksi nawet nieprzyjaciele nie odmawiają.

Cokolwiek bądź robi mającego znaczenie polityczne, to nigdy z chwilowej zachciewki, osobistej niechęci lub życzliwości, ale wprost z interesu, w myśl planu dawno ułożonego, do urzeczywistnienia którego posługuje się wszystkiem co uzna za właściwe. Jaki ten plan, któż odgadnie? Można tylko na pewno twierdzić, że na nazwę... naiwnego wcale nie zasługuje. Kto ma na rozkazy milion bagnetów i tysiące armat, ten kilku dziesiątek a nawet i setek tysięcy ludności nie zlęknie się, choćby te w bojowym stały szyku. Cóż dopiero mówić o gromadzie ludzi w różnych miastach i wsiach wynajdywanych a złożonej przeważnie z kobiet, dzieci, starców i wreszcie z biednych pracowników, zajętych jedynie zarobkiem? Inny więc jest jakiś powód tego bezprzykładnego okrucieństwa nad niewinnemi chudzinami a nie obawa szkodliwej działalności.

Powiadają, że wszystkiem tem kieruje samolubstwo do ostateczności posunięte. Niech świat się zapada, aby mnie tylko było dobrze. Nie ma wątpliwości, że we wszystkich czynnościach ludzkich samolubstwo jest potężnym motorem, poruszającym nawet najospalszych do działalności dla własnej korzyści. Ale trzeba pamiętać, że jeżeli głupiec nie widzi dalej jak koniec swego nosa i nie pojmuje solidarności łączącej go z otoczeniem, to rozumny patrzy przed siebie na wiek cały i pojmuje, że dobro jego jest związane z całem otoczeniem tem silniej, im bliżej się niego znajduje, i że do gaszenia pożaru u sąsiada trzeba nawet z narażeniem własnem dopomagać, aby rozszalały żywioł nie przeniósł się na własne jego domostwo i do szczętu je nie strawił.

Bądź co bądź, biedni cierpią, ale tylko z rozporządzenia żelaznego księcia. W całych bowiem Niemczech nieludzkość ta, wywołała ogólne oburzenie i krzyki na działalność przeciwną konstytucyi. W parlamencie spodziewają się z tego tytułu wrzawy niemałej a w odpowiedzi zobaczenia... figi, jaką już nieraz parlament był darzony, gdy hardziejąc głos podnosił.

Idąc więc za przykładem żelaznego księcia, zawieszającego wyganianie do 1 Kwietnia i ja zawieszam sprawę odwetu do tego terminu. Wprawdzie „Przegląd Tygodniowy", donosząc o jakimś Berlińczyku, który przywiózł projekt palenia ciał zmarłych i ma wybudować olbrzymi piec do smażenia nas po śmierci, powiada wielce dowcipnie: że też ci Niemcy to jeszcze po śmierci chcą nas piec na ogniu! ale ja, mówiąc dyplomatycznie, niby udaję, że tej obawy nie podzielam i do pierwszego Kwietnia jak rzekłem, odwet trzymam w zawieszeniu.

Podniesienie jednak kwestyi dotyczącej naszej znikomej powłoki przez owego Berlińczyka, jakkolwiek nie nowe, zawsze jednak zasługuje na uwagę. W każdym razie lepsze to jak wydawanie w Paryżu organu mód dla pokojowych piesków, pod tytułem „Fachion des caniches", obejmującego ryciny paletocików i kołnierzyków dla tych stworzeń czworonożnych. Tekst ma być poświęcony przeglądowi ras psich oraz ich hodowli a nie powieściom i nowelkom z życia psiego ułożonych, jakby spodziewać się należało.

Petersburski tygodnik humorystyczny „Strekoza", w swej kronice sądowej opisuje sprawę już nie o modne ubranie wytoczoną, ale *o psi kapitał*, także, jak powiada, nareszcie ukradziony.

W tych dniach, mówi dalej, stawał przed sądem weterynarz Jermiłow, kasyer Towarzystwa opieki nad zwierzętami, który roztrwonił cały fundusz pupilów jego, wynoszący 11,000 rs.

Tak jest: konie petersburskie, psy, koty, wrony i tygrysy, miały wspólny 11,000 rs. kapitału pożyczkowego i obrotowego. Fundusz ten był całą ucieczką i ratunkiem: kulawych koni, dymisyonowanych psów, owdowiałych lub podstępnie opuszczonych przez mężów kotek, zbankrutowanych wron, oraz tygrysów, którym kontrakt upłynął. Człowiek okradł psa! Człowiek zakradł się i zrabował kota! Człowiek nadużył zaufania wron! O! człowieku, człowieku, jakiś ty niepoń, ohydny i niepoprawny! Jakiś ty złodziej, skoro zwierzęta nawet okradasz! Jermiłow przed sądem był prawie dramatycznym. Chciał się otruć, powiadał, chciał się utopić, zastrzelić, położyć na szynach tramwaju, wszystko napróżno!

Nareszcie chciał się rzucić pod koła welocypedu, wbić się na pal i nawet w tym celu ostrugał na ostro szczyt jednego ze słupów telegraficznych. I to na nic, dał więc pokój. Żona umierała, zgrał się w karty, dzieci najadły się jabłuszek i cierpiały straszliwie. O! jakże był nieszczęśliwy! Nareszcie postanowił okraść psy i koty i okradł! Tylko nieszczęście popchnęło go do tego czynu, inaczej nie spełniłby go.

Sąd był rozrzewniony i zapakował Jermiłowa na osiedlenie w gubernii Archangielskiej.

Ciekawa rzecz wielce, czy Towarzystwo opieki nad zwierzętami, prenumeruje pismo paryzkie modom psim poświęcone?

Coś o Patti i jej przyjeździe przycichło. „Kuryer świąteczny" mówiąc o niej, dowcipnie powiada: a więc Patti żąda od Warszawy za jeden wieczór tylko 6,000 rs. Jedno z dwojga: albo Patti zawiedzie się w swojem żądaniu, co będzie dowodem, że już na starość mocno... znaiwniała... albo, jeżeli z nas wypompuje żądaną sumę, to będzie dowodem, że Warszawa jest jeszcze mocno naiwną. Mamy nadzieję, iż oliwa wkrótce wypłynie na wierzch i okaże się, że to Patti na starość mocno... znaiwniała.

Takby sądzić należało, zawsze to jednak mniejszy kłopot z przedętym i przestarzałym głosem śpiewaczki, jak z nowo narodzonem dziecięciem w Neapolu, mającem trzy nogi i cztery oczy. Pastor Knapp, wezwany przez matkę do chrztu, odmówił udzielenia Sakramentu, gdyż jak powiedział, niepewny jest, czy niemowlę ma jedną czy dwie dusze. Rzecz tę ma konsystorz dopiero rozstrzygnąć.

Pomijając tę biedną duszę pojedyńczą czy podwójną w niemowlęciu neapolitańskiem, jestem jednak w obawie czy Patti w razie przyjazdu do Warszawy, nie ściągnie z niej zamierzonej kontrybucyi rublowej. Ludzka ciekawość nietylko u nas ale podobno na całym świecie, nie ma granic. Nic jej tamy położyć nie może, a najlepszym tego dowodem uduszenie kilkunastu osób pod oknami śpiewaczki szwedzkiej Nilson w Sztokholmie, która rodakom swoim bezpłatny dawała koncert z ganku swego mieszkania. U nas nieszczęście podobne nie zdarzyło się, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa, przytrafić się bardzo może, sądząc z tłoku publiczności przy kasie teatralnej, gdy jeszcze bióra zamówień nie było. Więc i u nas ciekawość wielką odgrywa rolę a jeżeli do tego dodamy skłonność uwielbiania ludzi prawie do ubóstwiania posuniętą, to będziem mieli dwa czynniki niezmiernie ułatwiające duszenie się przy najmniejszem zbiegowisku, choćby wywołanem ciekawością oglądania koguta z rogiem, jaki się po podwórzu gdzie mieszkam przechadza i pianiem wieś przypomina.

Dziewczęta służebne w całej kamienicy, lubiące wszystko podpatrywać i podsłuchiwać. co tylko do nich nienależy, powiadają, że kogutowi temu róg wyrósł zamiast grzebienia, skutkiem przeniewierzenia się jednej z najmilszych mu kokoszek. Być to bardzo może, bo i przypowieść rogi zrobiła symbolem zdrady w małżeństwie.

Bądź co bądź, kogut nasz podwórzowy ma róg godny widzenia a głos w pianiu rzadkiej donioslości. Jak zapieje, klękajcie narody.

Cys jego wyższe od *cys* Mierzwińskiego o całą oktawę. Mówię to jednak w największym sekrecie, bo nużby się dowiedziano o tej nadzwyczajności koguciej, podwórze tutejsze z natłoku ciekawych stałoby się prasą duszącą wielbicieli *cys* wysokiego. Ztąd, śledztwa, zjazdy, powoływania świadków, wydawanie rautów i uczt wspaniałych, a i *jednodniówki* bezzawodu, jak to zrobiono we Lwowie w celu uczczenia *cys* wysokiego w osobie p. Mierzwińskiego. Wszystko to zaś i koszt wielki i mitręga czasu niemała, a kronikarz Wasz jak ów pleban w chudej farze sam w dzwony bije.

Oj! z tą chudością to kłopot niemały! Narzekają na biedę wszyscy, rolnicy i rzemieślnicy, kupcy i przemysłowcy, straganiarki i kramarki, a także i wydawcy pism codziennych i różnych tygodników, ledwo już dyszą z troski i kłopotów.

To jednak obojętnienie na ciekawości peryodycznej literatury, według zdania jednego z gazeciarzy w Missuri, jest wielce fatalnym znakiem.

Badając przyczynę tego naukowo, z powoływaniem się na różnorodną wiedzę ludzką, nie pomijając fizyologii i filozofii, doszedł do pewnika niczem zbić się niedającego, że ludzie, którzy obojętnieją dla peryodycznej literatury, już bardzo krótkim cieszyć się mają żywotem. Kto więc pragnie rozgrzać zamierającą w nim pożądliwość nowości drukowanych, niech prenumeruje pisma peryodyczne, a z pewnością zatrzyma wymykający się już z niego żywot i przedłuży go do lat setki przynajmniej.

Dziennikarzom pogląd ten bardzo się spodobał, ogłosili go odrazu za pewnik naukowy nowo zdobyty i przepisali go jako cudowny specyfik z poleceniem zażywania go aż do skutku. Kto nie wierzy niech sprobuje.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Dla smakoszów.** Amatorowie ostryg będą mogli używać, jeżeli pogłoska zamieszczona w kilku pismach prawdziwą się okaże. Podobno jeden z obywateli mieszkających w Warszawie, otrzymuje ciągle świeże transporty ślimaków, poławianych w jego majątku, nad Wisłą i łykając je z wielkim smakiem, twiedzi stanowczo, że nie dostrzega najmniejszej różnicy pomiędzy temi ślimakami, a ostrygami z zagranicy.

Świadectwo jednego smakosza wystarczającem nie jest, trzeba by je usankcyonowali inni, o co w każdym razie dość trudno, bo ostrygi jako produkt obcy i drogi zawsze znajdą chętnych nabywców, tanie zaś krajowe ślimaczyska, reprezentują potrawę więcej niż pospolitą.

Jesteśmy niemal pewni, że nowość się nie przyjmie na naszym gruncie, ale kto wie, może na eksport się przyda. Szanownemu amatorowi wiślanych ostryg, w imię oszczędności i krajowego przemysłu, życzymy współbiesiadników i smacznego apetytu!

*** **Nowy sposób.** Wynaleziony przez Frienda, amerykanina, sposób rafinowania cukru za pomocą elektryczności ma w Rossyi wejść w użycie. Kapitaliści petersburscy zawiązali w ostatnich czasach towarzystwo akcyjne, w celu zastosowania wynalazku i kto wie, może niedługo jako „hante nouveaté" przybędzie do nas „elektryczny" cukier. Specyaliści wróżą pomysłowi świetną przyszłość, gdyż ten rodzaj rafinady daje możność łatwego wyrabiania cukru niższych gatunków i otrzymywania zeń takiego samego produktu, jak z gatunków wyższych. Ceny cukru rafinowanego mogłyby się w takim razie znacznie obniżyć, bez szkody dla fabryk, które od lat kilku ciężkie przechodzą czasy.

Towarzystwo zamierza otworzyć fabryki nietylko w Petersburgu i Moskwie, lecz także w Odesie i Kijowie, a w miarę rozszerzenia działalności i w innych miastach.

Elektryczność, której rozwój posuwa się tak szybkim i śmiałym krokiem, niejedną nam jeszcze szykuje niespodziankę; niedawno słabe niemowlę z małym sił zapasem, dziś potęga, a w przyszłości, nawet w przybliżeniu kres jej działania oznaczyć trudno...

*** **Jedyne lekarstwo.** Corok w jesieni lub na wiosnę, pisma codzienne otrzymują mnóstwo korespondencyi z ubolewaniem nad smutnym stanem dróg naszych. Że przecież istnieje sposób zaradzenia złemu, każdy łatwo odgadnie. Gmina posiada środki na utrzymanie dróg w porządku, gdyż rozporządza szarwarkiem w naturze, idzie więc tylko o to, żeby robota wykonaną była dokładnie i we właściwym czasie.

Zamiast jak dotychczas się praktykowało, zostawiać to dobrej woli włościan, należałoby ustanowić odpowiednią kontrolę, dopilnować robót, zarządzić niemi, słowem przy dobrych chęciach i wytrwałości zreformować szarwarki. Mając do rozporządzenia furmanki i ludzi, można w niedługim czasie naprawić fatalny stan dróg, który utrudnia a często uniemożliwia transporty i odstawę, znaczne przez to wyrządzając straty. Właściciele majątków mają tutaj pole do działania, trzeba tylko by zrozumieli konieczność spełnienia tego obywatelskiego obowiązku. Na włościan oglądać się nie można.

Dość raz jeden przejechać przez wieś brudną, błotnistą, z cuchnącemi kałużami, by przyjść do wniosku, że ludzie, którzy przywykli od dzieciństwa do tego widoku i wprawili się do gimnastycznych ewolucyi, czepiania się płotów i t. p., bez czego z chaty do stodoły, a tem mniej do sąsiada lub karczmy dostać się niepodobna, zatracili pojęcia ładu i porządku, czemu się nawet dziwić trudno. Trzeba im więc to pojęcie wyrobić, przez osobiste doglądanie szarwarku, wskazać korzyści wynikające z naprawy dróg, zamiast pozostawiwszy je własnemu losowi, za nadejściem wiosny lub jesieni biadać i narzekać.

WIADOMOSCI Z ZAGRANICY.

*** **Spóźniony słowik.** Adelina Patti przypomniała sobie Warszawę i zamierza ją odwiedzić. Nie pora słowiku! zawołać jesteśmy w prawie, u nas obecnie jesień i u ciebie jesień, a nawet zima, spóźnione trele nas nie nęcą, zwróć się gdzieindziej, zgrzybiałe ptaszę. Gdyby diva zechciała uwzględnić nasze rady, tysiące rubli przeznaczone na haracz dla jej sfatygowanego talentu, pozostałyby w kraju, na cel podnioślejszy niż chwilowa przyjemność wątpliwej wartości artystycznej.

Wie ona jednak, że u nas pod tym względem różnią się zdania, wie że są tacy którzy dla obcych tylko kieszeń otwierać zwykli, a reklamy niektórych gazet opisujących *gniazdko słowika* i t. p., są dowodem że wizyta słynnej Patti jest bardzo pożądaną. Wzmiankowane dzienniki rozpisują się szeroko o trybie życia artystki, o jej gustach, kwiatach, które lubi (wskazówki bardzo cenne do najpierwszej owacyi), złotych roztruchanach, klejnotach, złotych ptakach (i to bardzo ważne), porcelanie pochodzącej z darów i tym podobnych rozmaitościach. Wartoby już naprzód przejrzyć jubilerskie arcydzieła, bo może nawet tutaj nic odpowiedniego się nie znajdzie, a w ostatniej chwili, jeszcze się spóźnimy.

*** **Oryginalny gość.** W Cerano (w Piemoncie) toczył się ostatniemi czasy bardzo zabawny proces.

Pewnego dnia, banda swawolnych chłopców zmusiła osła do wejścia na schody ratusza, a następnie do sali posiedzeń, w której ojcowie miasta obradowali nad jakąś ważną kwestyą.

Municypalność urażona do wysokiego stopnia, zaskarżyła właściciela osła i sprawców niesmacznego żartu.

Dowcipny adwokat dowiódł jasno jak na dłoni, iż zwierzę, które natchnęło muzę Ezopa i Wiktora Hugo, nie znieważa swą obecnością sali posiedzeń.

Co najkomiczniejsza, starał się dowieść, że właścicielowi osła nie można robić zarzutu, gdyż jak się pokazuje z dzieł wymienionych autorów, osieł ma jak najlepszy rozum, odpowiada więc za swoje postępki i niepoczytalnym ogłaszać go nikt nie ma prawa.

Sędziowie uznali dowody za wystarczające i uniewinnili oskarżonych. Czy osieł ukarany został, kroniki milczą dyskretnie.

*** **Król mody.** Książę Walii zadawał szyku w Buda Peszcie a następnie w Wiedniu. Madziarowie są nim zachwyceni, płeć piękna darzy go wyjątkowem uznaniem i życzliwością. Ubiór księcia podczas głównego dnia wyścigów, zwrócił powszechną uwagę mężczyzn i niewątpliwie zrobi przewrót w kwestyach mody. Jesienny garnitur z szarego sukna, odznaczał się wykwintnym krojem, buty z szerokiemi nosami, kołnierzyk stojący o zagiętych rogach, krawat związany po marynarsku i przepięty perłą, cylinder z mocno wygiętemi skrzydłami, wszystkie te szczegóły zapisały się w pamięci elegantów.

Książę Walii, prawodawca w kwestyach mody, dba niesłychanie o swe tualety i podczas pobytu w Peszcie ukazywał się codzień w innym stroju. Podróżuje incognito pod przybranem nazwiskiem, a wagon podróżny, arcydzieło angielskiej sztuki budowlanej, przytwierdzany bywa do każdego pociągu. Wielki jak dom parterowy, waży 660 centnarów, składa się ze wspaniałego salonu, dwóch małych sypialni dla księżnej i księcia, dwóch łazienek i kilku nader wykwintnie urządzonych gabinetów dla gości.

*** **Losy obrazu.** W jednem z belgijskich miast odkrytem zostało oryginalne płótno Rubensa. Krawiec jakiś kupił przed dziesięciu laty obraz za franka i przyozdobił nim salon dla gości. Przed kilku miesiącami, stare zasmolone płótno zwróciło na siebie uwagę jednego z klientów, który będąc artystą malarzem, podjął się oczyścić je bezpłatnie. Krawiec na propozycyę przystał bardzo chętnie, a po dokonanej operacyi okazało się, że obraz jest dziełem mistrza, Rubensa, o czem dowodnie świadczy własnoręczny podpis i data 1614 r.

Płótno przedstawia Chrystusa błogosławiącego świat i ma 80 centymetrów wysokości a 62 szerokości.

Szczęśliwy posiadacz arcydzieła oblegany jest przez znawców i miłośników sztuki, którzy chcą dać za obraz olbrzymie sumy, lecz ponieważ chciwość ludzka nie zna granic, krawiec chciałby wyciągnąć jak najwięcej i na sprzedaż zdecydować się nie może. Oczekując na majątek, który mu spadł jak z nieba, porzucił rzemiosło, gdyż jak twierdzi, pracować już nie potrzebuje.

Oby tylko nie sprawdziło się na nim przysłowie: łatwo przyszło, łatwiej poszło!

*** **Historyczne źródło.** Do dziejów Maryi Stuart nowa przybędzie karta. W ostatnich czasach, jak donoszą angielskie pisma dokonano ważnego odkrycia w zamku Belvoir, gdyż znaleziono listy króla Edwarda IV i Henryka VII a nadto korespondencyę hrabiego Shrevsbury.

Urzędnicy archiwum państwa utrzymują, że od wielu lat nie odszukano równie ważnych dokumentów. Krwawa plama w dziejach Anglii, rzucająca ponury cień na ówczesną królowę, złagodzić się może i zblednie, dla poetów zaś i dramaturgów przybędzie bardzo wdzięczny temat.

Ci ostatni szczególniej będą mogli korzystać z autentycznych źródeł, wskrzeszając do życia straszny dziejowy dramat w całej grozie i prawdzie na której mu zbywało dotychczas.

NOWE WYDAWNICTWA.

Encyklopedya Techniczna. Ważnego tego dzieła wydawanego nakładem „Przeglądu Tygodniowego", pod redakcyą główną D-ra Aleksandra Wejnberga, wyszedł zeszyt pierwszy. Całe dzieło ma obejmować przeszło 50 arkuszy druku i przeszło 200 drzeworytów w tekscie. Prenumerata na miejscu wynosi rs. 4 z przesyłką pocztową rs. 5.

OD REDAKCYI.

☞ Tom dziewiąty pism Alberta Wilczyńskiego, zamiesiąc Wrzesień już wyszedł z druku i obejmuje:

WOŁY ROBOCZE.

OBRAZKI Z ŻYCIA POCZCIWCÓW.

Przypominamy, że prace autora „Kłopotów Starego Komendanta" są przyjmowane przez ogół czytelników z żywą sympatyą, że wszyscy pragną ich, jak się pragnie pokarmu zdrowego, świeżego powietrza, jak się pragnie krynicznego napoju, który orzeźwia i rozwesela.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Октября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 43.

(Dalszy ciąg.)

N. 6. Bluzka z fałdkami marszczonemi, przeszytemi wierzchem. Patrz ryc. 18 w N. 42.

Przemarszczenie znane pod nazwą *smock* (wyraz anglo-saksoński dawny, jednoznaczny z nowszym *shirt*— koszula) wchodzące obecnie w modę, naśladuje drobniutkie marszczenie, używane w Anglii do przyozdobienia koszul, przeszywane przez wierzch różnorodnemi ściegami, nakształt haftu. Przyozdobienie to roz-



N. 5. Suknia z długą draperyą. Patrz ryc. 28—29.

powszechnia się bardzo przy stanikach, bluzkach, sukienkach dla dzieci i t. p., nadaje się ono do wszelkiego rodzaju materyałów, a cały efekt zależy na akuratności i równości ściegów marszczenia. Bluzka, którą widzimy na ryc. 6, była z bronzowego kaszmiru, przeszycie fałdek dane filozelą vieil-or w dwóch cieniach. W N. 42 na ryc. 18 przedstawiliśmy w naturalnej wielkości wzór przemarszczenia i zwierzchnie przeszycie fałdek; ściegi i odstępy między niemi powinny być nadzwyczaj równe; po zsunięciu fałdek i zamocowaniu nitek, daje się przeszycie zwierzchnie przez kanty fałd. W pierwszym rzędzie fałdki przeszyte są po 3 razem; w drugim rzędzie łączy się ostatnią fałdkę grupy z pierwszą następnej, a przez środkową ścieg zajęty jest o tyle głębiej, że jest niewidocznym. Trzeci rząd łączy znów po trzy fałdki w grupy, tak jak pierw-



N. 1. Kapotka koronkowa.



N. 2. Kapotka aksamitna.



N. 3—4. Kokarda pod szyję i do rękawa.

szy; czwarty tworzy drobniutkie kwadraciki przez zajęcie jednego ściegu za nitkę z rzędu trzeciego. Piąty rząd dany niedzielonę filozelą jaśniejszego koloru w ten sposób, iż cztery fałdki łączą się przez wierzch trzema ściegąmi a dwie następne jednym ściegiem, jak to ryc. 18 objaśnia. Poniżej wyszycie daje się tak jak początkowo, tylko w odwrotnym kierunku. Po skończeniu roboty przecina się i wyciąga nitki marszczenia, układa płasko fałdki z lewej strony i przyfastrygowywa materyał do podszewki. Praktyczniej jest marszczyć fałdki z materyału zwierzchniego nie krajanego jeszcze podług formy. Bluzka obciśnięta paskiem bawetowym aksamitnym ma przemarszczenie dane na-

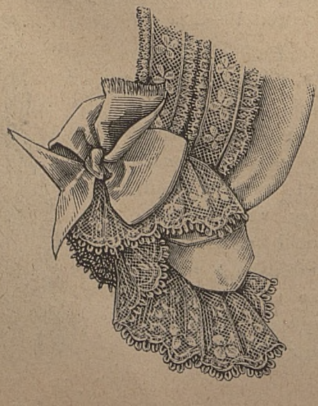


N. 6. Bluzka z fałdkami marszczonemi przeszytemi wierzchem. Patrz ryc. 18 w N. 42.

kształt karczka z przodu i na plecach, a zwierzchnia połowa rękawów przemarszcza się powyżej łokcia. Stojący kołnierzyk i wysokie mankiety aksamitne.

N. 7, 30 i 31. Suknia z draperyą odmiennie ułożoną z boków.

Odrobiona z ciemno granatowego materyału z długim włosem, przerabianego w pasy z supełków ponsowych i bronzowych. Spódnicę zakończa w szerokie płaskie fałdy ułożone plisowanie, które z lewego boku, jak to widać na ryc. 7, sięga w górę aż do paska i dopełnione jest drugim klinem plisowanym z kawałka materyału w pasy 100 cent. szerokiego. Przy gładkiem plisowaniu zaczyna się przednia draperya, wymierzona podług litery *a* na ryc. 31, z materyału w pasy; lewy brzeg boczny spada gładko aż do dołu, górny brzeg sfałdowany podług znaków do 8 cent., dalej zostawiony gładko, wszywa się w pasek, a prawy

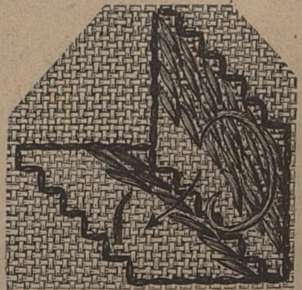


N. 9. Rękaw do ryc. 32.



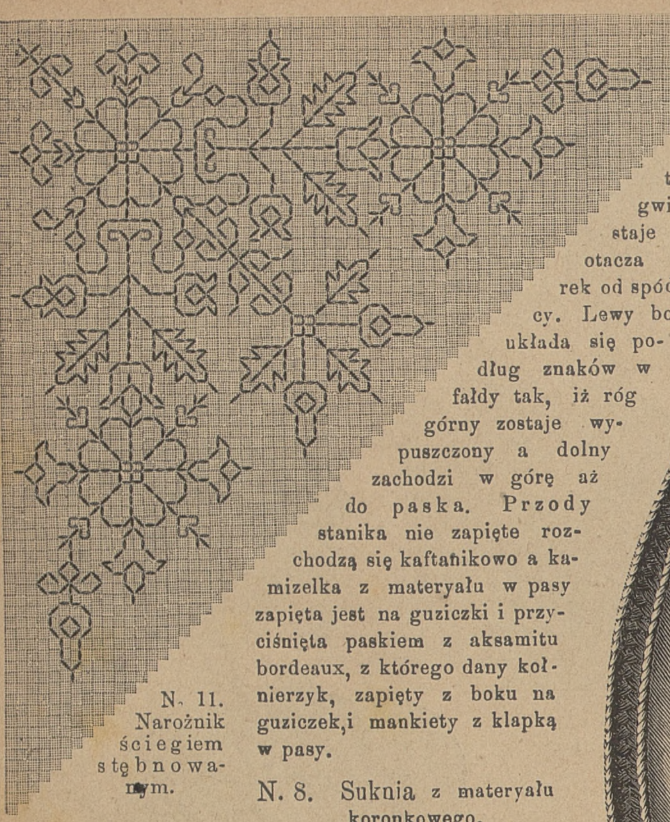
N. 8. Suknia z koronkowego materyału.

N. 7. Suknia z draperyą odmiennie ułożoną z boków. Patrz ryc. 30—31.



N. 10. Wyszycie skośnego ściegu gobelinowego do r. 11 w N. 42.

sfałdowany do 23 cent. podług ryc. 30 przyszywa się na spódnicy. Przyszycie to przykrywa gładko spadający brzeg tylnego bryta; górny brzeg tegoż sfałdowany od 117 do 218 i wszyty w pasek, od gwiazdki pozostaje gładko i otacza rozporek od spódnicy. Lewy bok układa się podług znaków w fałdy tak, iż róg górny zostaje wypuszczony a dolny zachodzi w górę aż do paska. Przody stanika nie zapięte rozchodzą się kaftanikowo a kamizelka z materyału w pasy zapięta jest na guziczki i przyciśnięta paskiem z aksamitu bordeaux, z którego dany kołnierzyk, zapięty z boku na guziczek, i mankiety z klapką w pasy.



N. 11. Narożnik ściegiem stębnowanym.

N. 8. Suknia z materyału koronkowego.

Jasno bronzowy materyał koronkowy, podłożony kolorową podszewką jedwabną, którą można zastąpić satynką bawełnianą; sute kokardy z wstążki tego co podszewka koloru. Spódnicę (wyjąwszy pod draperyą przednią) pokrywają 3 szerokie wolanty marszczone, z których górny wszyty w pasek, a dolny wysuwa się aż za obręb sukni. Draperya ufałdowana podług ryc. 8 z jednego boku spada gładko pod sutą kokardą, z drugiego stopniowo podpięta trzema kokardami, przyszyta jest do sukni szwem odwracanym i opuszczona w bufę. Staniczek do paska, przedłużony bawetowo, ma przody zakończone częściami marszczonemi, opuszczonemi bufiasto wierzchem paska, w środku złączonemi żabotem koronkowym.



N. 13. Krzyżyk. Mozajka leśna.

N. 12. Gałązka haftem renaissance, jako rzut na portiery, firanki i t. p.

Odrobiona pojedyńczo służyć może na poduszeczkę, patarafkę, saszetkę i t. p., powtarzana w odstępach stanowić będzie efektowny

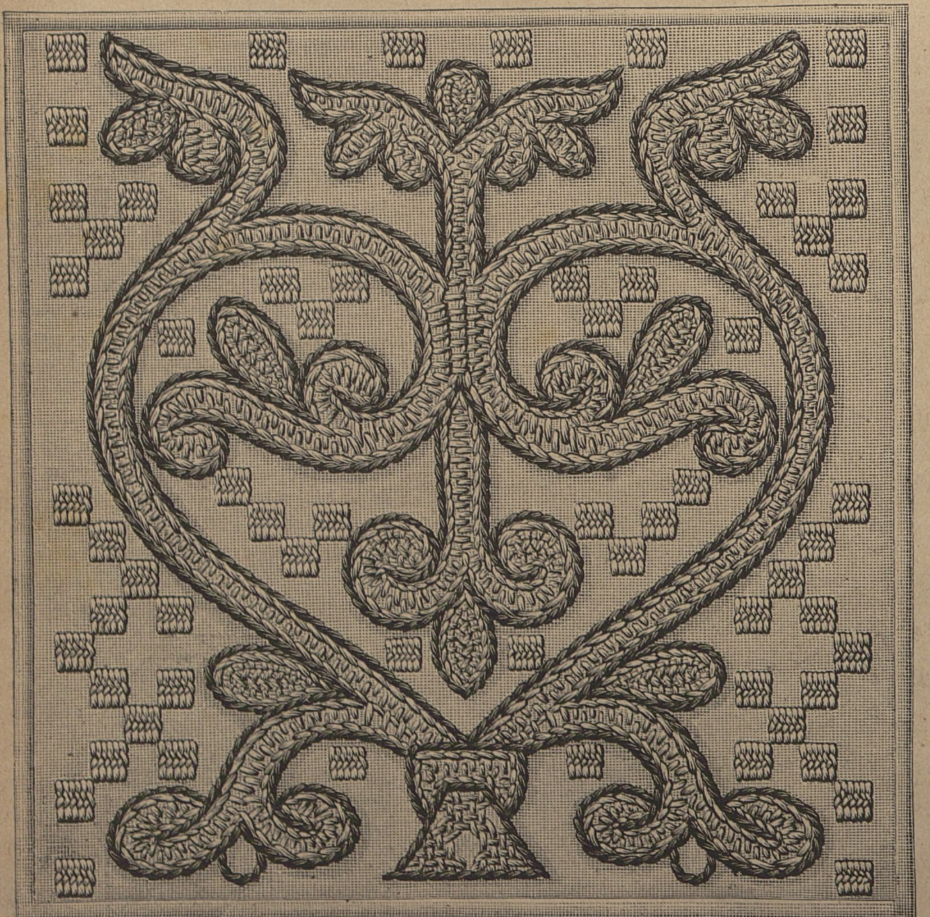


N. 12. Gałązka. Haft renaissance, jako rzut na portyery, serwety i t. p.

rzut na tle portiery, serwety lub firanki. Kolory haftu można zmieniać dowolnie, stosując je do tła, na ryc. 12 było ono z jasno niebieskiego atłasu; kontury deseniu obwiedzione szaureczkiem złotym; haft wykonany filozelą i nitką złotą.

N. 13. Krzyżyk, mozajka leśna.

Podstawa dolna i fason zrobione z drzewa; pierwsza liczy 12 cent. długości a 15 szerokości, krzyżyk zaś jest 32 cent. wysoki, z ramionami po $7\frac{1}{2}$ cent. długiemi. Całość pociąga się gęstym karukiem, którym przyklejone są ściśle jedna przy drugiej drobne szyszki olszowe. Przyozdobienie podstawy i gałązki otaczające krzyż dane z różnych szyszek całych, lub z pojedyńczych listków i nasionek. Dla większego efektu tło z szyszek olszowych pozostaje w kolorze naturalnym, a zwierzchnie przyozdobienie pociąga się płynnem złotem lub srebrem.



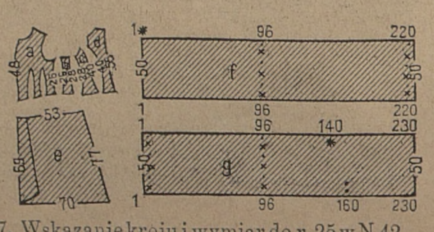
N. 14. Kwadrat. Haft na płótnie.



N. 15—16. Ubranie dla panienki lat 10—12.

N. 14. Kwadrat. Haft rzymski na płótnie.

W N. 30 na ryc. 32 i w N. 37 na ryc. 9 daliśmy już wzory takiego haftu, opisując szczegółowo wykonanie, dziś w dalszym ciągu dajemy kwadrat wykonany grubemi nićmi (Königszvirn) na płótnie domowej roboty; kontury wielkiej arabeski obwiedzione niebiesko, maleńkie rzuciki na tle wykonane biało, point d'armes.



N. 17. Wskazanie kroju i wymiar do r. 25 w N 42.



N. 18. Plecy do r. 25 w N. 42.



N. 19. Żabot z wstążki i krepy.

N. 15—16. Ubranie dla panienki lat 10—12. Krój podług ryc. 33 w N. 32 Tyg. Mód.

Krając podług powyżej wskazanej formy, trzeba podług ryc. 15—16 baskinę stanika 16 c. długą, z boków trochę zaokrąglić, a przy pleckach 5 c. poniżej wcięcia stanu naddać materyału na podwójną kontrafałdę. Plastron przedni, dopasowany z podszewki i zapięty z boku na kryte haftki, liczy w górze 7, u dołu 18 cent. szerokości i pokryty jest zmarszczonym kawałkiem materyału,

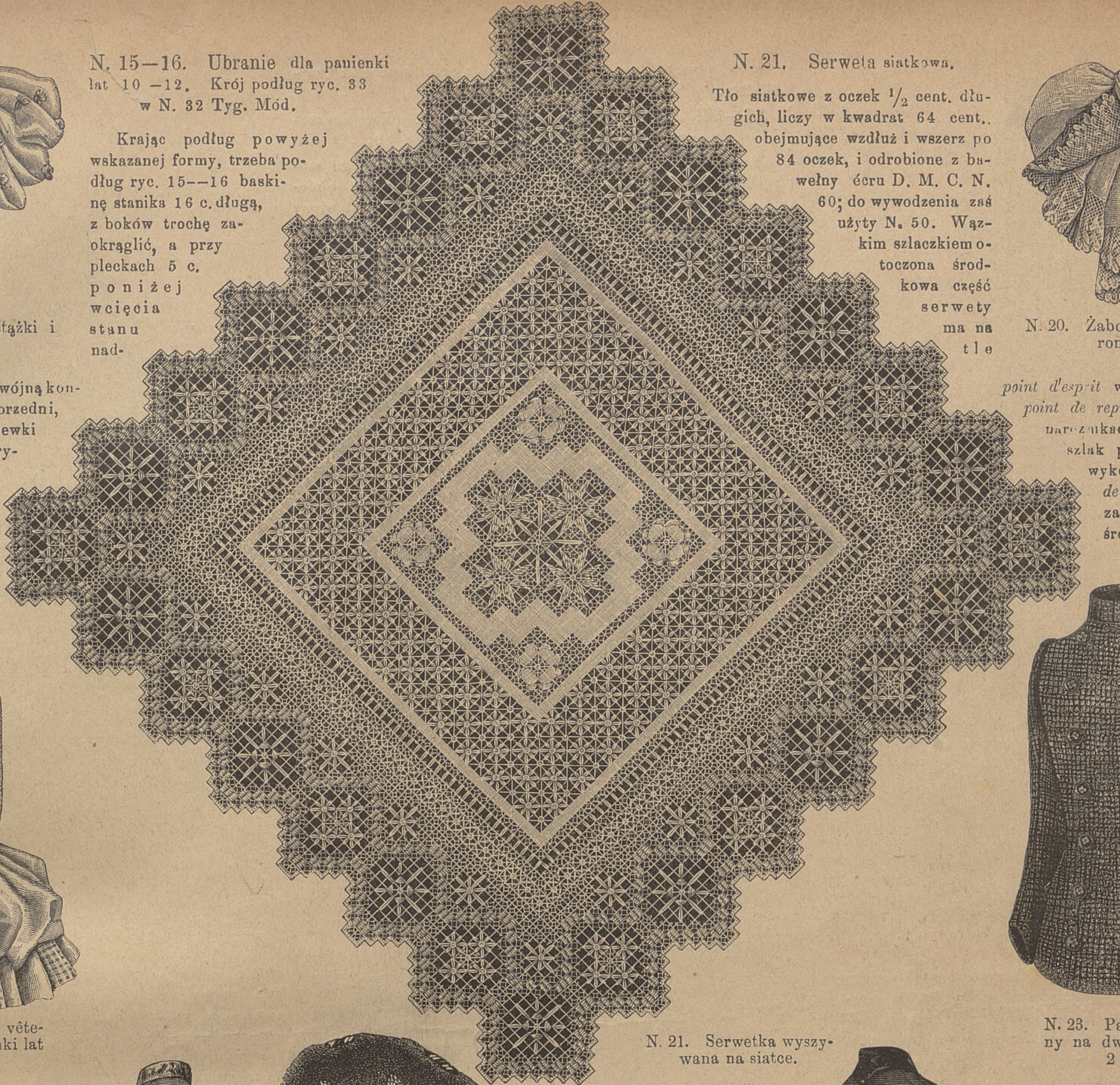


N. 22. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 4-6.

38 cent. szerokim, opuszczonym u dołu w bufę 10 cent. długą, z boków przymarszczoną równo z przodami. Spódnica z przodu i z jednego boku zaplisowana, z drugiego na 40 cent. szerokości pokryta zakładkami po 3 c. szerokiemi przy tylnym brzegu zakończonemi guzikami. Upięcie przednie wymaga bryta 58 cent. szerokiego, 75 c. długiego, którego brzeg górny złożony w fałdy plisowane, $4^1/_2$ cent. szerokie, wszyty jest w pasek; a tylny brzeg boczny, wraz z połową dolnego brzega sfałdowany do 22 cent. zachodzi pod brzeg tylnego bryta sukni. Upięcie tylne składa się z pukla 48 cent. długiego a 50 szerokiego i z końca również szerokiego a 54 cent. długiego, podwiniętego skośnie u dołu.

N. 19—20. Żaboty.

Ryc. 19 przedstawia żabot w połowie ułożony z wstążki crême i ponsowej ottoman, 6 cent. szerokiej; w połowie zaś z krepy w rzucik sznelowy ze złotem. Krepa i koronka 6 cent. szeroka składają materyał na żabot ryc. 20.



N. 21. Serwetka wyszywana na siatce.

N. 21. Serweta siatkowa.

Tło siatkowe z oczek $^1/_2$ cent. długich, liczy w kwadrat 64 cent., obejmujące wzdłuż i wszerz po 84 oczek, i odrobione z bawełny écru D. M. C. N. 60; do wywodzenia zaś użyty N. 50. Wązkim szlaczkiem otoczona środkowa część serwety ma na tle *point d'esprit* wyszyte gwiazdy *point de reprise*; kwiaty w narożnikach jak również szlak prosty i w zęby wykonane są *point de toile*. Tło po za kwadratem środkowym składa się z czterech rzędów pajączków naprzemian wyszytych; dalej następują dwa szlaczki ściegiem de toile i point d'esprit. Dla nadania robocie sztywności i gładkości, rozpiętą w krosnach serwetę wilży się gąbką w wodzie z rozpuszczoną w niej żelatyną, po wysuszeniu robotę wypruwa się z krosien.



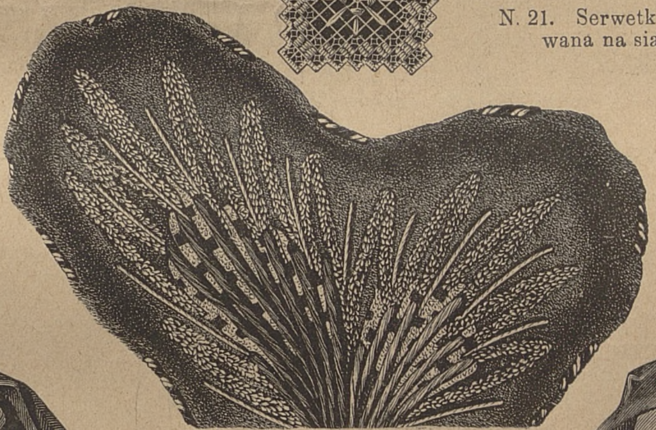
N. 20. Żabot z krepy i koronki.



N. 23. Paletocik zapinany na dwa sposoby, do r. 2 w N. 42.



N. 28. Suknia z długą draperyą. Patrz ryc. 5 i 29.



N. 24. Skrzydełko motyla do ryc. 25.



N. 26—27. Paletot dla dziecka lat 1-2. Krój jak do r. 4 w N. 19.



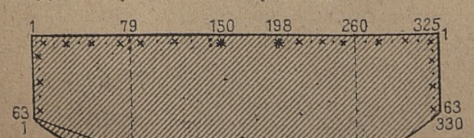
N. 30. Suknia z draperyą odmiennie z boków upiętą. Patrz ryc. 7 i 31.

N. 22. Sukieneczka z vêtement dla dziewczynki lat 4—6.

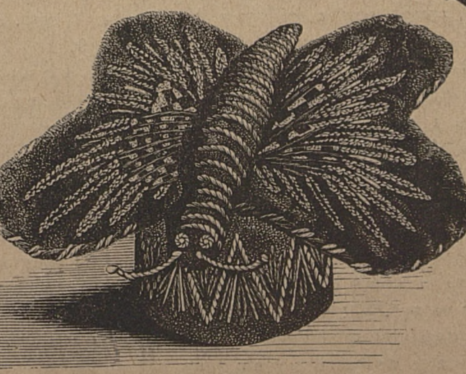
Uszyta z białego wełnianego materyału, ma spódniczkę układaną w fałdy 4 i 8 cent. szerokie, przedzielane dodanemi zwierzchu fałdami z koronkowego materyału, z którego dany kołnierz i mankiety. Krótkie boczki i plecy vêtement dopełnione są bufiastą draperyą, pod którą w górze przewleczony jest pasek z szerokiej pletni, podsunięty pod przody i związany w kokardę.

N. 24—25. Motyl do przykrycia kinkieta od lampy.

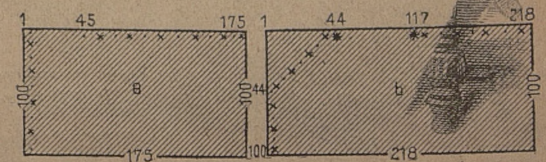
Podstawę zakładającą się na kinkiet stanowi wieczko od okrągłego pudełeczka, pokryte atłasem i ozdobione wyszyciem ze złotego sznureczka i ponsowego



N 29. Wymiar draperyi do ryc. 28.



N. 25. Motyl jako przykrycie na kinkiet.



N. 31. Wymiar draperyi do ryc. 30.

ty oszytej pluszem, owiniętym złotą nitką; oczki z perełek i wąsiki złote.

N. 26—27. Paletocik dla dziecka lat 1—2. Krój dopasować można podług formy do ryc. 4 w N. 19.

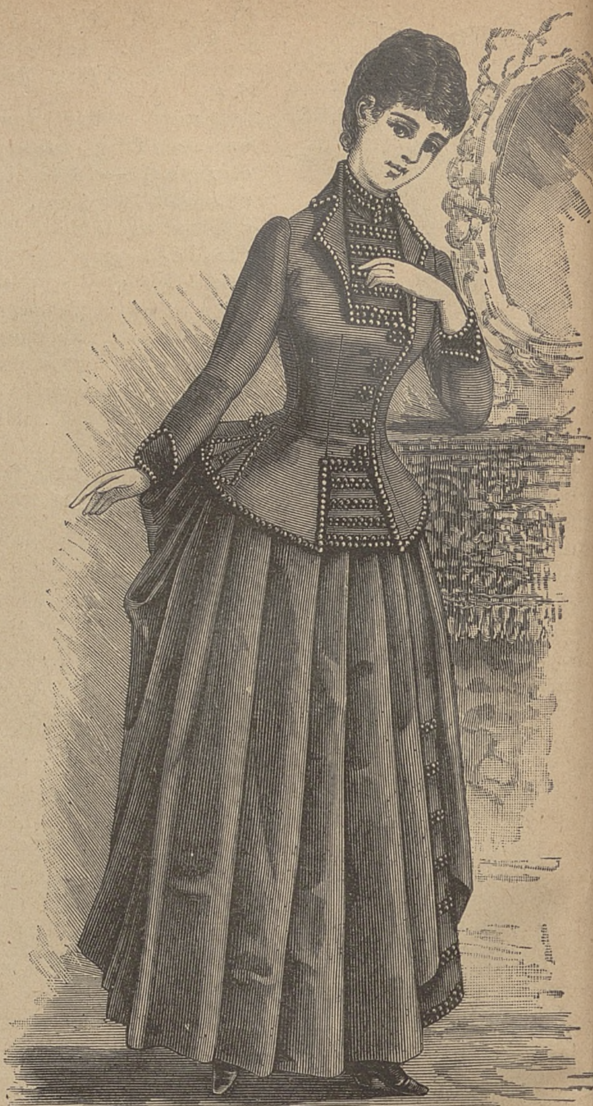
Ryc. 27 przedstawia paletocik z białego wełnianego materyału w deseń pikowy przerabiany z nitką kolorową, z kołnierzykiem i patkami aksamitnemi, zaś na ryc. 26 przedstawiony z tyłu paletocik z sukienką ciemno bronzowego, z takimż aksamitem. Wyżej wskazany krój da się tu zastosować odrzucając naddanie na fałdy przy przodach. Krótkie plecy dopełnione są częścią oddzielną, 21 c. długą, 80 cent. szeroką, złożoną w trzy kontrafałdy.

N. 32 i 9. Suknia z bluzką. Patrz ryc. 9 w N. 42.

Do przybrania białej muślinowej sukni służą koronki 12 i 8 cent. szerokie i 4 cent. szeroka wstawka; spódniczka spodnia liczy 260 cent. obwodu i zakończona jest plisowaniem 15 cent. szerokiem, oszytem koronką. Zwierzchnia suknia z prostych brytów 360 cent. szeroka, garnirowana dwoma lekko namarszczonemi wolantami oszytemi koronką. Fartuszkowa tunika z przodu, zdobna wzdłuż wszytemi wstawkami, zakończona u dołu koronką; tylne upięcie dane z brytów prostych, podług ryc. 9 w N. 42. Bluzka przyozdobiona jest pasami wstawek, otoczonemi z brzegów koroneczką 1 cent. szeroką. Rękaw przybrany u dołu podług ryc. 9.



N. 32. Suknia z bluzką. Patrz ryc. 9.



N. 33. Suknia z podpinaną spódnicą à la paysane.

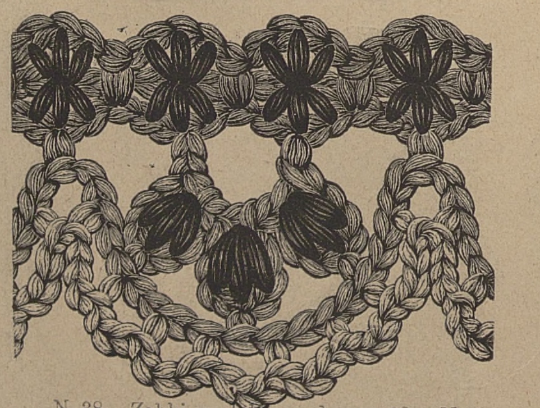


N. 34. Sukienka z długim stanikiem dla małej dziewczynki. N. 35. Ubranie dla chłopca.

jedwabiu. Na wierzchu spoczywa motyl, wycięty z cienkiej tekturki, pokryty od spodu niebieskim atłasem, zwierzchu takimż pluszem. Ryc. 24 przedstawia jedno skrzydełko w naturalnej wielkości, zdobne wyszyciem z nitki złotej, bajorku, sznureczka kręconego niebieskiego, kolorowego jedwabiu i t. p. Korpusik 9 cent. długi a 4—5 obwodu mający, skręcony z wa-



N. 36. Fartuszek z podpięciem.



N. 38. Ząbki szydełkowe do ryc. 20 w N. 42.

N. 33. Suknia z podpinaną spódnicą à la paysane.

Do przybrania sukni wełnianej z materyału ciemno granatowego i czerwonawo bronzowego, służą bronzowe kuliste guziczki. Przyszyte na płetni wełnianej zdobią spódnicę bronzową i takąż kamizelkę, a nawleczone ściśle jeden przy drugim zakończają brzegi stanika i otaczają guziczki jedwabne służące do zapięcia przodów. Spódnica à la paysane liczy 570 cent. szerokości, 104 długości i ma brzegi boczne ścięte skośnie na 82 cent. wzdłuż. Jak to widać na ryc. 33; brzegi boczne nie są zeszyte i niedochodząc do siebie odsłaniają spódnicę naszytą guziczkami. Górny brzeg zwierzchniej spódnicy układa się w płaskie fałdy, w środku z tyłu spuszcza w dwa pukle 16 i 26 c. długie i wszywa w pasek. Staniczek z boku zapinany, kwadratowo wycięty pod szyją i w baskinie, dopełniony kamizelką, ma szwy boczne niedoszyte do końca, a brzegi przodów i boczków wywinięte do wierzchu.

(*D. n.*)



N. 37. Płaszczyk formą paletota.